

Pogawędka niedzielna

J a k a m e t o d a ?

Już od kilku dni panuje na linjach P. K. P. niebawny ruch. Jadą nie tylko normalni pasażerowie, t. j. ci za ulgowymi biletami, lecz również nienormalne safanduty, które nie potrafiły wykombinować zniżki. Do małych stacyj biegają z kufkami, koszami, zapasami konfitur, suszonych grzybów i najrozmaitszych wiejskich frykasów zżajani letnicy. Wielkie stacje znanych uzdrowisk roją się od kuracjuszy, których piękne walizki dźwigają numerowi... Wszędzie pośpiech, wszędzie gwar. Poczuwamy lokomotywy, widząc taki ruch, puszą się i nadymają prychając od czasu do czasu parą jak ogniste rumaki. Na okrzyk konduktora: „gotów” — podrywają z kopyta i unoszą mieszczuchów do miejsc przeznaczenia. Tak zwane „lono przyrody” pustoszeje. Ona zaś sama zachowuje się w sposób najwyraźniej świadczący, że żal jej odjeżdżających mieszczuchów... Czasem płacze po nich całymi sznurami dżdżu mażąc się jak rez kapryszony dzieciak. Łkające niebo zakrywa wtedy słońce chmurami i zanosi się od drobnych, ale bezustannych szarych łez. Br... Moko i chłodno... Czasem matka-przyroda postępuje mniej historycznie i uśmiecha się do odchodzących malancholijnym uśmiechem słonecznej jesieni, niby dobra mądra matka, która bólem swym nie chce pogłębiać smutku żegnających ją dzieci...

Choć natura żałuje wszystkich, najbardziej jest jej przykro patrzeć na odjazd urwipolciów obojga płci, zwanych pospolicie uczniami, którzy tak miło figlowali na jej rozłożystym łonie. Nic dziwnego. Biedaków tych czeka wyjęziona praca, potem matura, potem uniwersytet, a potem długie, długie, niekończące się... bezrobocie.

Takie są bowiem cztery etapy w życiu współczesnego „pościwego” człowieka: gimnazjum, matura, uniwersytet i jako korona wysiłków poszczególnych jednostek ogólne bezrobocie...

O bezrobociu pisałem na tem miejscu kilkakrotnie; o maturze wprowadziłem tylko raz, lecz bardzo długo; o uniwersytecie wspominałem z racji orzeźwiających tuszów, jakie policja sprawia studentom zimową porą. Pozostaje mi więc tylko sprawa pracy szkolnej. Zabieram się do tego tematu tym śmieiej, że rok szkolny zaczyna się już trzeciego września.

Tego dnia wszelakie urwipolcie pójda na uroczyste nabożeństwa, a nazajutrz na dźwięk dzwonka zasiądą grzeczniutko (!?) w ławkach. Tryby szkolne porwą ich i

nie wypuszczą na nowe brykanie aż w końcu czerwca. Również w ciągu dziesięciu miesięcy młodzież będzie się uczyć i... mało się nauczyć... Również w ciągu dziesięciu miesięcy belfry pod czułem i wnikliwym okiem władz będą czynili swe eksperymenty nad łepetynami tysięcy swoich pupilów.

Jeśli pisać: „będą czynili eksperymenty” — robię to z całą świadomością. Największym bowiem złem szkolnictwa jest niekończące się eksperymentowanie... Państwo polskie liczy sobie — chwalić Boga — osiemnaście lat istnienia. W ciągu tego czasu władze szkolne mogłyby nareszcie zdecydować się na jakąś jedną metodę nauczania i postępowania. Niestety, wcale się na to nie zanosi. Władze szkolne dosiadają coraz to innego konika i cwałują na nim mniej więcej w ciągu jednego lub dwóch lat szkolnych. Zaledwie młodzi i nauczycielstwo przywyknie do modnej metody, już rzuca się ją do lamusa wspominając i przystępuje do nowego eksperymentowania. Jakże to daje rezultaty, nie potrzebuje pisać, bo wyrażano mi pod tym względem niejednokrotnie. Ostatnio np. czytaliśmy w rubryce „Na marginesie”, że według jakiegoś maturzysty legiony polskie powstały w roku 1908, kiedy-to bohaterka Austrii wypowiedziała wojnę nieodolnej... Japonii.

Ludzie nieświadomi sprawy, widząc stałe obniżanie się poziomu wiedzy i inteligencji wśród młodzieży, zwalają winę na nauczycieli. Ci ze swej strony szurzą się i burząją na młodzież, a w gruncie rzeczy zło tkwi w niekończącym się eksperymentowaniu. Nauczycielstwo ponosi jednak winę, gdyż zastrachane, bojąc się o utratę swych skromnych posadzin — nietylko zgadza się na wszystko co mu rozkazują wyczyniać, ale stosuje wskazówki i rozkazy, wyjęte przy zielonym stoliku z jakąś przesadną zastrachaną gorliwością.

Był czas, kiedy w szkołach obowiązywała metoda heurzezy. Polegała ona oczywiście na tem, że nie zawiadamało się o żadnym fakcie urwipolciów wprost, lecz naprowadzało się ich do nowych wniosków na podstawie tego, co już wiedzieli. Naprzykład historyk nie mówił o autokratyzmie Ludwika XIV wprost, lecz pytał:

— Brzdącki, powiedz mi chłopcysiu, jak ci się zdaje?... Hm... Zaraz... Jeżeli zdania: „państwo to ja!” nie wypowiedział ani Ludwik XIII, ani Ludwik XV, to który Ludwik je powiedział?

Brzdącki wstawał i śpiewał jak z nut: „Ludwik XIV, panie psorze!”

Dalem przykład wprowadzić groteskowy, lecz zupełnie możliwy w naszych warunkach. Byłem kiedyś na lekcji świadkiem, jak polonista po przeczytaniu „Lilji” Mickiewicza zwracał się do dziewcząt siódmej klasy z pytaniem:

— Co pani odczuwa, panno A., gdy pani czyta słowa: „Ha mąż, ha, trup!”?

Nie mogła odpowiedzieć na to pytanie ani panna A, ani panna

Wobec klęski posuchy nadzieje na eksport do Ameryki

W Warszawie otrzymano doniesienia, że w Stanach Zjednoczonych zaznaczył się brak niektórych artykułów spożywczych. Objaw ten spowodowany został przez klęskę posuchy, która w roku bieżącym nawiedziła całą Amerykę północną, a zwłaszcza Stany Zjednoczone. Na jesień i zimę przewidywana jest w Ameryce drożyzna i konieczność zwiększonego importu żywności. Liczne kraje świata czynią już

B, C, D, E, F, G itd... Dopiero dziesiąta z rzędu wpadła na pomysł. Czerwień się po uszy, odrzekła: — Mam takie mieszane uczucia. Gdy czytam „mąż” to mi przyjemnie; gdy „trup” to niemiło.

W klasie powstał nieopisany rwetes i chichot. Nauczyciel walił pięścią w stół, krzyczał, że wypasza sobie podobne żarty — uczennica przysięgała, że mówi prawdę, a co do mnie, to do dziś nie wiem, jakie mną szarpia uczucia, gdy czytam „ha mąż; ha trup!”

przygotowania do eksportu towarów na potężny i bogaty rynek amerykański. W Polsce ze strony powołanej zwrócono uwagę producentom i eksporterom na wielkie możliwości wywozu polskich artykułów spożywczych do Stanów Zjednoczonych.

Najbliższe miesiące okażą, czy handel polski zdolny jest do śmiałej inicjatywy i do walki konkurencyjnej z handlem innych krajów.

Idzie więcej węgla Poprawa sytuacji na Śląsku

W przemyśle węglowym na Górnym Śląsku zaznaczyła się poprawa wobec nadchodzącej jesieni i zimy oraz zwiększonych zamówień na węgiel.

Poprawa ta występuje zarów-

no w kopalniach prywatnych, jak i skarbowych. Oczekiwane jest bliskie zniesienie świętówek na wielu kopalniach a nawet przyjęcie do pracy pewnej ilości górników.

Przygotowania do kongresu hitlerowców w Norymberdze

Niemiecka partja hitlerowska czyni przygotowania do wielkiego kongresu partyjnego, który zwołany został do Norymbergi. Kongres odbędzie się w dniach od 7 do 16 września. Hitlerowcy są zdania, że liczba uczestników tegorocznego kongresu partyjnego oraz dekoracyjna strona zjazdu przekroczy wszystko, co dotychczas na kongresach hitlerowskich widziano.

Władze policyjne wydają już teraz zarządzenia, mające zapewnić bezpieczeństwo osobiste przywódcom hitleryzmu i dygnitarzom trzeciej Rzeszy. Wszystkie hotele, pensjonaty, właściciele pokoi umeblovanych i mieszkających Norymbergi, zgłaszający dobrowolnie kwatery, otrzymali surowe zarządzenie policyjne. Zarządzenie to postanawia, że w okresie od 7 do 16 września zajmować mogą

po pokoje w Norymberdze tylko i wyłącznie te osoby przyjeżdżające, które wskazane będą przez władze partji hitlerowskiej.

Nie wolno jest przyjmować i dawać kwatery nawet przyjeżdżającym krewnym, chociażby ci mieszkali w Norymberdze. Kontrola nad wszystkimi przyjeżdżającymi i ich kwatarami należy do partji i władz bezpieczeństwa.

DELEGACI GDAŃSKA

Na kongres partji hitlerowskiej, udają się delegaci członków gdańskiej partji narodowo - socjalistycznej w liczbie 1000 osób. Liczny udział delegacji gdańskiej ma być dowodem łączności partji gdańskiej z centralą ruchu narodowo - socjalistycznego w Niemczech.

Heurzeza, stosowana przez nauczycielstwo dla świętego spokoju lub dla kariery nadzwyczaj gorliwie, doprowadziła do tego, że uczniowie odzwyczaili się mówić. Mruczeli tylko monosylabami jak niedźwiedzie. Wreszcie prasa zajęła się osławionymi książkami Czapczyńskiego, który napisał po kilka tysięcy heurystycznych pytań do „Trylogii” i „Pana Tadeusza”. Heurzezę zarzucono.

Wniosek logiczny, jaki z tego należało wysnuć brzmiałby następująco:

— Sprawę metody trzeba pozostawić poszczególnym nauczycielom. Niech każdy uczy, jak chce, byle osiągnął dobre rezultaty.

Ale gdzie tam! Wniosku takiego nie wyciągnięto i od czasów heurzezy szkoły przeszły przez wiele metod, jak np. praca pod kierunkiem, aktualizacja, korelacja i t. p. i t. p.

I znowu należy stwierdzić, że każda z nich nie byłaby taka zła, gdyby władze nie wymagały rygorystycznie jej stosowania i gdyby przerażone nauczycielstwo nie przesadzało w wykonywaniu nakazów władz.

Aktualizacja wydała sporo zabawnych kwiatków, a polegała na tem, że nauczyciel mówiąc o jakimkolwiek zagadnieniu obowiązywał nawiązywać do współczesnych zdarzeń. Stosowaniem tej metody wkrótce przerażali się same władze. Na jakimś kursie wakacyjnym opowiadał wizytator takie zdarzenie:

„Jestem na lekcji matematyki w pierwszej klasie. Nauczyciel dyktuje zadanie, gdzie jest mowa, że kopa ją kosztuje trzy złote. Nagle przerywa i pyta: „Iksiński, komu mamy do zawdzięczenia, że jaja takie tanie?” Iksiński miesza się i baka coś niezrozumiale. Nauczyciel marszczy brwi: „Jak to — pyta — nie wiesz, kto dziś rządzi Polską, kto jest ministrem spraw wewnętrznych?” Iksińskiego oślnięło. Wypalił odradu dwa nazwiska. Twarz belfra się rozpoznała: „A widział! Im mamy do zawdzięczenia tanie jaja, im powinniśmy dziękować!”

Oczywiście wizytator podawał tę lekcję jako przykład złej aktualizacji. Nie dziwię mu się. Wtaczanie do młodocianych łepetyn takiego jajowego światopoglądu wcale nie gruntowało powagi rządu ani ministrów.

Ostatnim konikiem władz szkolnych była korelacja. Dla nie-nauczyciela słowo to brzmi bardzo ładnie i miękko. W nauczycielu jednak budzi taką grozę, że nawet najbardziej wyłysiały belferus

dostaje lekkiej drżączki na sam jego dźwięk. Przy korelacji wszyscy nauczyciele muszą w jednym i tym samym czasie wałkować jedną i tę samą kwestję, oświetlając ją z punktu widzenia swojego przedmiotu. Odbijają się specjalne sesje, na których rada pedagogiczna in corpore kreśli sobie plan korelacyjny na kilka tygodni naprzód.

Sesje takie to istne tortury!... Bardzo często w żaden sposób nie można skorelować przedmiotów mimo olbrzymich wysiłków. Pamiętam jedno ponure zebranie. Siedzieliśmy już trzy godziny i ani rusz nie się nie korelowało. Dyrektor gimnazjum ziewał dyskretnie, ale tak przeraźliwie, że oczy nabrzmiewały mu łzami, a zaczęli wyprawiały jakieś niesamowite drgawki. Lepiej wychowani koledzy tkwili w krzesłach wyprostowani, szczypiąc się dla wytrzeźwienia po łydkach. Inni lecieli z krzesła. Jakaś starsza koleżanka chrapała bez żenady na kanapie. Od dymu tytoniowego uczyniło się w pokoju wprost gęsto. Przycięto światła elektryczne. Wydechowały wszystkie muchy. Zaledwie jedna — olbrzymia — leżała na wznak na stole i gmerała z nudów rozpaczliwie nóżkami... Nikt już nawet nie prosił o głos i tylko dyrektor coś pobąkiwał. Minęła znów godzina, a nie się nie skorelowało. Aż wreszcie wybałwił nas z sytuacji nieoceniony geograf. Do tej pory senny, ocknął się naraz, wyprostował i oświadczył rzeźkim głosem:

— Mam projekt korelacji! Przechoďte teraz Tatrę. możebym więc kolega od śpiewów wyuczył chór szkolny piosenki: „Góralu czy ci nie żal?”

Wszyscy odetchnęli, choć oświ-

ście wziąłem ten projekt jedynie za dobry żart. Na szczęście dyrektor potraktował rzecz serio i sekretarz zapisał wiekopomną korelację w książce protokołów.

Obecnie moda na korelację mi-

ja. Władze szkolne bąkają od roku, że metoda jest tylko środkiem, a celem jest wysoki poziom wiedzy. W praktyce jednak postępują inaczej, bo wizytatorzy wciąż badają metody nauczania. Nic tedy dziwnego, że u progu 1936/37 roku szkolnego pytam kolegów - pedagogów, oraz wszystkich urwipolciów z całej Rzeczypospolitej:

— Moi drodzy! Na jakiego konika wsiadają w tym roku nasi przełożeni i jaką metodą będą nas gnębić bez litości?... Nie wiecie? Ja też nie. Ale już niedługo się przekonamy!

Jan Waśniewski

Z radja

Na wystawie

Gdyby przed kilku miesiącami wystąpił kto z twierdzeniem, że na wystawie przemysłu metalowego i elektrotechnicznego najsilniejszym magnesem będzie dział radiowy, uważałbym go za przesadnego fantastę. I nietylko ja. Mam wrażenie, że podobnego zdania byłby również szeroki ogół, nawet — nasi fachowcy radiowi, gdy się do wystawy przygotowywali. Liczyli oni oczywiście na pewne sukcesy, ale spekulacją nie na tak wielkie, jakie przyniosła rzeczywistość.

Zwiedzając bowiem wystawę, stwierdzić trzeba, że największe zainteresowanie publiczności zwraca się: najpierw do rozmaitych drobnych przedmiotów, służących do gospodarstwa domowego (co zresztą obserwujemy stale na wszelkich wystawach i targach), następnie zaś miejsce zajmują odbiorniki radiowe, przy których stale pełno ciekawych. A największą atrakcją wystawy stało się studio Polskiego Radja, które ściga tak liczne rzesze, że nierzadko trudno się przedostać do wnętrza pawilonu ministerstwa poczt i telegrafów.

Podobno nie są tam zbytby zachwycony przedstawiciele innych działów, wystawionych w tymże pawilonie: twierdzą mianowicie, że na ich stoiska publiczność nie zwraca najmniejszej uwagi — z wyjątkiem tych chwil tylko, gdy demonstrowana jest popularna „zegarynka” telefoniczna. Ale nie w tem dziwnego. Skupienie

obok siebie wszystkiego, co jest zależne od ministerstwa poczt nie było pomysłem szczęśliwym. Można to robić przy układaniu preliminarza budżetowego, ale nie należało stosować tejże metody przy rozplanowywaniu wystawy. Radjofonia jest dziś dziedziną zupełnie dla siebie odrębną i należało było dać jej zupełnie osobny pawilon.

Zresztą, sama nawet nasza radjofonia ponosi także pewne koszty tej olbrzymiej popularności, jaką sobie zyskała jej publiczne studio: bo i do obu kątów hangaru, w których znalazło się trochę miejsca na różne fotografie, diagramy i inne eksponaty Polskiego Radja, również mało kto dociera. Eksponaty te zresztą dają o naszej radjofonii pojęcie bardzo ułamkowe; szkoda w szczególności, że choć obecnie nasze stacje nadawcze budowane są całkowicie w kraju, trudno nabrać z wystawy jakiegokolwiek bliższego o tej sprawie pojęcia.

Ale i to jest skutkiem wspomnianego wyżej grzechu pierwotnego, jakim było niedocenienie znaczenia radjofonii. Ograniczone do bardzo niewielkiego miejsca, Polskie Radjo musiało zrezygnować z niej. A przecież byłoby to bardzo instrykuwne, gdyby za demonstrowano naprzykład obecny postęp radjofonizacji poszczególnych okolic, zawodów itp., gdyby przedstawiono, jak postępuje rozwój radja w szkołach, jak się radjo

rozszerza po wsiach. Tematów najrozmaitszych byłoby sporo — cóż, gdy nie stało miejsca.

Nie jest to zresztą jedyny paradoks tej wystawy, która stoi pod znakiem elektrotechniki, a równocześnie tonie nietylko w świetle, co w półmrokach. W każdym razie i to, co wystawiono, godne jest obejrzenia.

Ale najciekawsze jest, jak już wspominałem, studio, stale wypełnione gęstą ciżbą ludzką.

Jedna tu rzecz uderza przede wszystkim. Kto słucha transmisji z wystawy u siebie w domu i rozróżnia wyraźnie dochodzący z sali głuchy szmer publiczności, jest zdumiony, gdy się znajdzie na wystawie, samorządnie dyscypliną, jaką ta publiczność zachowuje. Czerwone światła nad studjem i ostrzegawcze napisy: „Cisza! Studio czynne!” robią swoje, zupełnie tak samo jak przy zwiedzaniu gmachu przy ul. Zielnej. Ludzie stąpają na palcach, rzadkie są nawet szepty — nastrój ciszy i skupienia jest prawdziwie wzorowy. A jeżeli mimo to tyle nas szmerów dochodzi z głośnika, to dowód tylko, jak czule są mikrofony i jak najmniejsze nawet i najsłabsze fale głosowe wpływają na całokształt każdej audycji, jeżeli nie stanowią jednego z jej istotnych składników. Porównując wrażenia odnoszone przy słuchaniu audycji wystawowych z głośnika i na miejscu, można także zrozumieć, jak to się dzieje, iż nierzadko audycje radiowe są tak przeładowane hałasem, że trudno z nich cokolwiek zrozumieć. To też i sami ludzie radja niejedne-

go będą się mogli z okazji wystawy nauczyć.

Najcenniejszą jednak nauką jest kontakt, jaki się nawiązuje między mikrofonem a publicznością. Można obserwować na wystawie ciekawe objawy, gdy się np. kończy koncert popularny, a zaczyna „żywe słowo”: momentalnie zmienia się publiczność, jedni tłumnie wychodzą, drudzy zajmują opróżnione miejsca. Stali słuchacze czy to p. Stępowskie, czy p. Wacława Frenkla „wychodzą na swoje”, gdy ich żywych widzą przed sobą, albo gdy mogą popatrzeć na „prawdziwego” Bocheńskiego. Ale i sami prelegenci, którzy naogół zawsze się skarżą, że najnieprzyjemniejszą rzeczą w radju jest niewidzialność audytoryum, wiele korzystają z tych swoich publicznych występów: obecni bowiem będą już mogli mniej więcej orientować się, kto ich słucha — i z jakim napięciem emocji. Oklaski, które dochodzą z głośnika po każdym takim występie, są wymownym tego dowodem.

Czy wynika stąd, że radjo dobrze robić będzie, jaknajczęściej przenosząc swoje audycje na forum publiczne? O, nie. Eksperyment, jakim są obecne pokazy publiczne na wystawie, ma swoje ściśle ograniczone korzyści: przede wszystkim jako środek propagandowy, a częściowo także dydaktyczny. W dalszym ciągu bowiem podtrzymać muszę wypowiedziane już niejednokrotnie zdanie, że z tego rodzaju publicznych występów obroną naogół ręką wychodzi tylko muzyka, natomiast audycje żywego słowa tracą dla ogółu słuchaczy, choć

się obecnym na sali wydaje zgoda inaczej. Bo wprowadzić, gdy stucham na wystawie Karłowskiego, recytującego znany już (i krytycznie na tem miejscu skwalifikowany) monolog Symfonia Drućka, to mi się na sali znacznie lepiej podobał, niż w głośniku — a publiczności również. Ale czegoż to dowodzi? Tylko tego, że jeśli taka istnieje w niektórych wypadkach różnica między transmisją ze studia izolowanego a studium publicznego, to widocznie dany utwór nie jest sam w sobie dostatecznie radjofoniczny i może dopiero telewizja pozwoli na usunięcie tych jego braków.

Rzecz bowiem znamienita, że jeśli np. słuchamy z głośnika popularnych „skrzynek”, to fakt wygłaszania ich z publicznego studia w niczem ani nie polepsza ani nie osłabia ich normalnego efektu. Dowód to, że w tych wypadkach skala maksymalnej radjofonizacji została już przez prelegentów osiągnięta.

Ale, a propos głośników: głośniki na wystawie odznaczają się brzmieniem kiepskiem, głuchym, zamazanym. Dobrze byłoby, gdyby się dało usunąć ten defekt.

W ubiegłą sobotę (22 b. m.) Lwów uraczył nas zagranicznym skeczem „Strzęp życia”, który szkoda było tłumaczyć i nadawać, gdyż nie posiada żadnej wartości: słuchacz od pierwszej chwili wiedział na czem się ta jałowa grafomanja skończy — i dziwił się tylko, po co się wybiera z obcego repertuaru takie słabizny.

Inna rzecz natomiast z ostatnim słuchowiskiem. Niemiecka

„Plotka” pani Hugin stanowi pewnego rodzaju eksperyment radiowej groteski — i z tego powodu była audycją interesującą. Inna rzecz, czy ta groteskowość odniosła zamierzony efekt. Osobiście mam wrażenie, że nie. W niektórych momentach zestawienie głosów plotkarzy z głosami zwierząt było udane, w innych jednak chóralskie krzyki wypadały zgola sztucznie, operetkowe zaś zakończenie dowodzi, że autorka nie mogła się zdecydować, na jakiej właściwie platformie oprzeć swój utwór. Bodaj czy nie lepiej byłoby trzymać się realistycznych migawek, a zakończyć farsowo.

Jeśli się słuchowiska tego słuchało z głośnika, a wiedziało o tem, że nadawane było z wystawy, można było panującymi w studjo wystawowem szmerami publiczności tłumaczyć sobie te głuche hałasy, które zniekształcały (nieraz bardzo dotkliwie) pierwszą jego część. Ponieważ jednak nadawanie z płyt odbywa się z zamkniętej kabiny, a zatem hałasy uboczne nie wchodziły tu w grę, wypadnie usterki techniczne tej audycji położyć na karb płyt, nieczysto nagranych. Inna rzecz, że oddział tłumaczący sobie te głuche hałasy, które zniekształcały (nieraz bardzo dotkliwie) pierwszą jego część. Ponieważ jednak nadawanie z płyt odbywa się z zamkniętej kabiny, a zatem hałasy uboczne nie wchodziły tu w grę, wypadnie usterki techniczne tej audycji położyć na karb płyt, nieczysto nagranych. Inna rzecz, że oddział tłumaczący sobie te głuche hałasy, które zniekształcały (nieraz bardzo dotkliwie) pierwszą jego część. Ponieważ jednak nadawanie z płyt odbywa się z zamkniętej kabiny, a zatem hałasy uboczne nie wchodziły tu w grę, wypadnie usterki techniczne tej audycji położyć na karb płyt, nieczysto nagranych.

Najlepiej jednak było użyć stalografu i transmitować wprost z ul. Zielnej — byłoby się wtedy oświecało bez defektów.

Marjan Grogoreczny.